

Magdalena Buraczewska-Świątek

LUSTRZANE WZGÓRZE

Zielona Irlandia i tańczące celtyckie dusze.
Jakie tajemnice kryje dom sierot na Lustrzanym Wzgórzu?




AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

Magdalena Buraczewska-Świątek

LUSTRZANE WZGÓRZE



Copyright © 2025 by Magdalena Buraczewska-Świątek

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-246-4

EAN: 9788384122464

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-247-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

WSTĘP

*A może właśnie jesteście tacy,
jacy w lustrze się widzimy?*

Dziwne to były czasy. Tragiczne i piękne zarazem. Tak łatwo było zatracić w nich siebie, ale też odnaleźć wszystko to, co cenne – w samym sobie i w innych. Bo tak już jest, że trudne czasy wyzwalały w ludziach skrajne zachowania. Jedni toną w mrocznych zakamarkach własnych lęków i żądz, inni zaś stają się bohaterami, gotowymi na poświęcenie, by od owych lęków ocalić nie tylko siebie, ale i innych. Mają odwagę stanąć w obronie prawdziwych wartości i jeszcze – gdzieś po drodze – zatroszczyć się o miłość, która na pierwszy rzut oka wydaje się szaleństwem.

Wiek XIX w Irlandii z pewnością należał do tych trudnych, nie tylko z powodu wielkiego głodu, który wówczas nawiedził kraj, jakby mało było innych nieszczęść. Największym spośród nich była jednak agresywna polityka Wielkiej Brytanii, która za wszelką cenę starała się wykorzenić pamięć o rodzimej kulturze celtyckiej. Towarzyszyły temu ograniczenia prawa do wolności, kultywowania wiary, posługiwania się ojczystym językiem i odczuwania świata celtycką, wolną duszą. Najciężej znosili to ci, którzy głęboko przyłgnęli do obrazu pięknej rudowłosej wróżki tańczącej beztrąsko nad jednym z irlandzkich jezior, malowniczo położonych wśród pagórków, klifów i skał, w rytm energetycznej celtyckiej melodii wygrywanej na harfie i skrzypcach.

Żałuję, że stron tej książki nie można nasączyć taką muzyką, by grała wraz z każdym słowem, z każdą przewracaną stroną. By pozwoliła poczuć

rytm tej historii – historii o miłości silniejszej niż granice między narodami, o odwadze większej niż strach i o nadziei jaśniejszej niż wszystkie zwierciadła Lustrzanego Wzgórza. (Oczywiście nikt nikomu nie zabroni posłuchać jej na własną rękę).

Nie wiem jednak, co było tragiczniejsze – fakt, że jeden naród ograniczał wolność innemu czy postawa samych Irlandczyków. Niektórzy z nich bowiem, chcący uchodzić za autorytety, mamili innych pełnymi konformizmu słowami, że wszystko można przeczekać, nieważne, jak wiele trzeba stracić.

Historia ta na szczęście nie zdarzyła się naprawdę, ale przecież mogła i niewykluczone, że rzeczywiście komuś się przytrafiła. Jeśli miałabym decydować, co z Lustrzanego Wzgórza przemycić do realnego życia, zdecydowanie wybrałabym nauczycielkę Emily, bo przydałyby się takie w szkołach, i... miłość.

Warto wiedzieć, że Lustrzane Wzgórze nie od zawsze było lustrzane. Kiedyś nikt tam nie przyglądał się własnemu odbiciu. Kiedyś każdy wołał nie pamiętać, że sieroty w ogóle istnieją. Ale Emily O'Donnell – główna bohaterka – była inna.

Dodam jeszcze tylko, nim zaczniecie się niecierpliwić, że inspiracją do napisania tej książki, były dla mnie dwa niezwykle klimatyczne filmy: francuski dramat *Pan od muzyki*¹ oraz *Stowarzyszenie Umarłych Poetów*. Za każdym razem, kiedy oglądałam ten drugi film z Robinem Williamsem jako Johnem Keatingiem – ekscentrycznym wykładowcą języka angielskiego, myślałam sobie: o rety, ależ wspaniale byłoby mieć takiego pełnego pasji i wyrozumiałości nauczyciela.

Czasem jedno spojrzenie w lustro może zmienić wszystko. Trzeba tylko mieć odwagę zobaczyć prawdę. To co, zajrzycie do lustra?

1 *Pan od muzyki* – francuski dramat filmowy z 2004 roku w reżyserii Christophe’a Barratiera. Opowiada o nauczycielu muzyki, który podejmuje pracę w poprawczaku, i sprzeciwiając się żelaznej dyscyplinie, wprowadza chłopców w świat muzyki.

ROZDZIAŁ 1

Skupiona na czytaniu dziewczynka wędrowała palcem po kolejnych liniijkach tekstu w książce z czarno-białymi obrazkami. Jej zielone oczy lśniły, a gęste brązowe włosy delikatnie opadały na ramiona. Emily siedziała na drewnianym krześle tuż obok biurka siedmioletniej Anastazji i obserwowała ją z dumą – dziewczynka miała niezwykłą pasję do nauki. Nagle drzwi do pokoju gwałtownie się otworzyły i stanął w nich postawny mężczyzna w eleganckim garniturze. Zaskoczona Anastazja podniosła wzrok znad liter, które przed chwilą próbowała rozszyfrować, i spojrzała na ojca. Zdenerwowany Harrington zmierzył Emily chłodnym spojrzeniem, po czym pewnym krokiem ruszył przez pokój. Omiótł wzrokiem wnętrze, zatrzymując się na drewnianym blacie biurka, na którym rozrzucone książki zdawały się drwić z jego obecności.

– Panno Emily – odchrząknął. – Proszę zejść na dół, kiedy skończycie lekcję – rzekł poważnym tonem.

Nauczycielka zerknęła na zegar wiszący na ścianie – dopiero szesnasta, a zajęcia miały trwać do siedemnastej.

– Oczywiście, zajmie nam to jeszcze tylko chwilę – odpowiedziała, starając się ukryć zaskoczenie.

– Anastazjo! – Harrington zwrócił się do córki. – Wyprostuj się natychmiast. Żaden mężczyzna nie zechce garbatej żony. – Nie czekając na reakcję, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą echo kroków na drewnianej podłodze.

– Czytaj dalej, kochanie. – Zachęciła Emily, a Anastazja znów pochyliła się nad książką. Jej drobne palce sunęły po wyblakłym tekście, gdy mozolnie składała litery w słowa. Melodia niepewnego, dziecięcego głosu wypełniała pokój, ale Emily tylko połowicznie rejestrowała treść. Jej myśli krążyły wokół nietypowego zachowania pana Leona – nigdy wcześniej nie przerywał lekcji.

Gdy tylko uczennica dotarła do końca tekstu, Emily pomogła jej ułożyć książki w równy stosik. Zebrała swoje notatki i ruszyła na dół, gdzie już czekali państwo Harrington. Salon był żywym świadectwem przeszłości i teraźniejszości rodu. Za ciężkimi zasłonami skrywał się zimowy zmierzch, a płomienie w kominku rzucały miękkie cienie na tapicerowane meble. Nad paleniskiem górowało wielkie lustro, które Emily zawsze przypominało oko domu – czujne i bezkompromisowe w swojej szczerości. Wszystko zdawało się tu przemyślane. Każdy kąt opowiadał własną historię: rodzinne portrety na ścianach śledziły wzrokiem każdy ruch, porcelanowe wazony strzegły swoich sekretów, a bogato zdobiony obrus czekał na kolejne rodzinne spotkania. Miękkie dywany pochłaniały dźwięk kroków, jakby salon chciał zachować dla siebie wszystkie szeptane tu tajemnice. Harringtonowie siedzieli w fotelach niczym na tronach – pan Leon z kopertą w dłoni, pani Octavia z porcelanową filiżanką herbaty. Przemówił pan domu:

– Panno Emily. – Wyciągnął kopertę, słowa wypadły z jego ust szybko i nerwowo, jakby chciał mieć już za sobą tę nieprzyjemną powinność. – Oto wynagrodzenie za ostatni miesiąc. Od przyszłego nie będziemy już pani fatygować. Dziękujemy. – Zerknął na żonę, która śledziła każdy jego ruch, i Emily zrozumiała, że nie miał wyboru.

– Jak mam to rozumieć? – Poczuła, jak jej serce przyspiesza. Dłonie, dotąd spokojnie złożone na kolanach, zacisnęły się mimowolnie.

– Och, litości! – Pani Octavia odstawiała filiżankę. Stuknęła o blat stolika mocniej, niż powinna. – Zwalniamy panią. Anastazja nie potrzebuje już guwernantki. – Spojrzała na męża z politowaniem, jakby jego dyplomatyczne podejście było czymś niewłaściwym, a prosta prawda nie umiała przejść jemu, dorosłemu mężczyźnie, przez gardło.

– Czy zrobiłam coś nie tak? – Emily pochyliła się lekko do przodu. – Anastazja robi znaczące postępy, bardzo się stara...

– Czy ja mówię niewyraźnie? – Pani Octavia ucięła jej wypowiedź. – Owszem, moja córka robi postępy, ale to wyłącznie jej zasługa. Jest zdolnym dzieckiem. – Jej głos nabierał ostrości z każdym słowem. – Za to pani... pani napełnia jej głowę mrzonkami, na które świat jeszcze długo nie będzie gotowy. Anastazja potrzebuje prawdziwego nauczyciela. Kogoś, kto skupi się na jej rozwoju, zamiast puszyć się własną domniemaną mądrością.

– Pani Octavio – Emily uniosła lekko brwi, zachowując spokój w głosie. – Wiem, że nasze poglądy na edukację się różnią. Ale każde dziecko jest inne – co jednemu wydaje się dziwne, dla drugiego może być fascynujące. Anastazja ma wyjątkowy dar. Chcę tylko otworzyć przed nią drzwi do świata literatury, sztuki i nauki.

Pan Harrington chrząknął znacząco, rzucając żonie ostrzegawcze spojrzenie. Ta westchnęła z irytacją, jakby sama obecność nauczycielki w salonie była dla niej karą.

– Proszę pani... – Popatrzyła na męża, który dawał jej czytelne znaki, by przestała wreszcie pastwić się nad guwernantką. Westchnęła z irytacją i zaczęła cedzić słowa przez zaciśnięte zęby. – Czy nie uważa pani, że to jest zbyt... ekscentryczne? Nasza córka musi odnaleźć się w prawdziwym świecie, nie w królestwie wymyślonych historii i niepotrzebnych fantazji. – Tylko obecność męża powstrzymywała ją przed bardziej dosadnym wyrażeniem swojej opinii.

– Rzeczywistość i wyobrażenia mogą iść w parze, pani Harrington. – Emily mówiła łagodnie, choć widziała, jak palce chlebowościny wystukują nerwowy rytm na poręczy fotela. – Literatura uczy nie tylko faktów, ale i elastycznego myślenia, kreatywności, empatii...

– Panno Emily. – Pani domu pochyliła się w fotelu. – Chyba nie wyraziłam się dość jasno. Pani poglądy brzmią jak czysta utopia. Te wszystkie bajki i mrzonki... Czy naprawdę sądzi pani, że przygotowują moją córkę do życia w tych trudnych czasach? Że zapewnią jej dostatnią przyszłość? – Jej głos balansował na granicy kontrolowanego gniewu.

Emily spojrzała na Harringtona. Siedział nieruchomo, wbijając wzrok w dywan, jakby wzór na nim stał się nagle najbardziej fascynującą rzeczą w całym pokoju. Octavia nie czekała na odpowiedź. Zerwała się z fotela, wyrwała kopertę z dłoni męża i wcisnęła ją w ręce Emily.

– Przykro mi, ale potrzebujemy dla Anastazji... innej guwernantki. – Jej uśmiech był ostry jak brzytwa.

Nauczycielka spojrzała najpierw na kopertę, potem na panią Octavię. Jej uśmiech pozostał spokojny, choć w oczach zaległ cień smutku. Poczuła, jak gorycz porażki wypełnia jej serce – oddała tej pracy całą siebie, wierząc głęboko w swoje metody. A teraz, bez ostrzeżenia, bez szansy na obronę swoich racji, straciła jedyne źródło utrzymania.

W pamięci odezwał się dawno zapomniany głos matki: „Zobaczysz, jak nie przestaniesz psuć sobie oczu na tych wszystkich wymysłach pisarzy, co życia nie znają, skończysz jako stara panna w cudzym domu, pracując za grosze jako guwernantka²”. Niewiele pamiętała z tamtych czasów, ale te słowa wracały do niej w momentach takich jak ten – gdy życie przypominało, jak niewdzięczna i niedoceniana jest jej praca.

Emily zamknęła za sobą ciężkie drzwi rezydencji Harringtonów. Śnieg skrzypiał pod butami, gdy schodziła po stopniach, a w głowie kołatały się

wspomnienia: matka, która nigdy jej nie rozumiała, choć ona tak bardzo się starała; Kian – jej brat, duma rodziny, zawsze chwalony za zmysł do interesów i wspieranie domu, gdy podagra odebrała ojcu możliwość pracy i utrzymania rodziny.

Zza drzwi dobiegł jeszcze wzburzony głos pani Harrington:

– Twórcza edukacja? Wyobraźnia? To wszystko mrzonki! Moja córka potrzebuje solidnych podstaw, nie fantazji jakiejś szalonej wizjonerki. Przestań jej wreszcie bronić, Leonie!

Emily przystanęła na moment. Rzeczywistość, której nie mogła przewidzieć, właśnie uderzyła w nią z całą mocą. Postanowiła wrócić do domu inaczej niż zwykle, okrężną drogą. Potrzebowała tego spaceru, choć śnieg coraz mocniej prószył i mrok już zapadł. Westchnęła i naciągnęła szal, chroniąc twarz przed mrozem, który boleśnie szczypał w policzki. Uliczki miasteczka trwały w zimowej ciszy. Słyszeć było tylko skrzypienie śniegu pod butami i delikatny szelest płatków, które wiatr unosił niczym wprawny iluzjonista. Gazowe latarnie rzucały miękkie światło na śnieżną pokrywę, zamieniając zwykłe ulice w scenę jak z bożonarodzeniowych ilustracji – z ośnieżonymi gałęziami drzew i domami otulonymi białym puchem.

Oddech zamieniał się w mgiełkę, która iskrzyła się w świetle latarni. Emily uniosła wzrok – płatki śniegu opadały leniwie jak białe motyle, a ona przez moment pozwoliła sobie zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru. A może tylko próbowała zapomnieć? Z każdym krokiem w stronę domu czuła narastające znużenie i tęsknotę za ciepłą herbatą oraz przytulnym wnętrzem. Wreszcie dotarła do bramy. Mieszkała w tym miejscu sama od kilku lat. Nie przyjęła propozycji zamieszkania w rezydencji Harringtonów, choć kusili ją luksusem. Nie potrafiła zostawić rodzinnego domu na pastwę czasu, nie chciała go też sprzedawać ani

rozstawać się z nim – krył zbyt wiele cennych wspomnień. Teraz wiedziała, że była to słuszna decyzja.

Zrzuciła zimowe okrycie i, po szybkiej toalecie, zapaliła lampę w salonie. Z kredensu wyjęła skarb po babci – fajansowy serwis do herbaty. Postanowiła zaparzyć napar dokładnie tak, jak nauczyła ją tego ta mądra kobieta. Na przekór wszystkiemu, co się dziś wydarzyło. Chciała mieć choć tę jedną, małą przyjemność. Z namaszczeniem nalała wrzątek do filiżanki, otuliła się wełnianym kocem i zapadła w fotel, grzejąc zmarznięte dłonie o ciepłe naczynie. Uśmiechnęła się mimo woli.

Patrząc przez okno na wirujący w powietrzu śnieg, który zdawał się tańczyć w świetle latarni, dostrzegła pewną prawdę. Zimowa kraina, choć surowa i nieprzyjazna, miała w sobie ukryte piękno. Zupełnie jak dzisiejsze wydarzenia – mogła pozwolić, by żal i rozgoryczenie po słowach pani Octavii zamroziły jej duszę, rozpoczynając czas zimowego mroku. Albo mogła w tym dostrzec nowy początek, bo to przecież my nadajemy znaczenie wydarzeniom naszego życia. Wzięła łyk herbaty. Każdy płatek za oknem wirował w swoim własnym tempie, tworząc niespieszny spektakl na scenie zimowego wieczoru. W tej ciszy i bieli kryła się obietnica odrodzenia.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Może właśnie tego potrzebuje – upadku, by móc powstać silniejsza? Nawet jeśli następne dni upłyną jej na liczeniu oszczędności ukrytych po wszystkich domowych zakamarkach, nawet jeśli będzie musiała obmyślać plan przetrwania do czasu znalezienia nowej posady. Choć teraz sama myśl o szukaniu pracy wydawała się odległą.

Nagle przypomniała sobie o kopercie od Harringtonów, którą w pośpiechu zostawiła w holu. Wstała z fotela i po chwili trzymała ją

w dłoniach. W środku, obok pedantycznie odliczonej kwoty – co do pensa, znalazła złożoną karteczkę z wiadomością:

Panno Emily,

pozwalam sobie zostawić Pani ten adres, pod którym mieszka moja ciotka Serafina. Wiem, że poszukuje kogoś do pracy i że przypadną sobie panie do gustu. Proszę powołać się na mnie, gdy tylko uda się Pani spotkać z ciotką.

Z wyrazami szacunku

Leon Harrington

Przeczytała wiadomość kilkakrotnie, zaskoczona jej treścią. Pan Leon, który jeszcze dziś siedział milczący w swoim fotelu, jakby przytłoczony osobowością żony, okazał się kimś zupełnie innym. Pod maską uległości krył się człowiek zdolny do życzliwości i współczucia.

Nie wiedziała, co może na nią czekać w irlandzkim miasteczku, ani jaką pracę oferuje tajemnicza Serafina. Ale sam fakt, że ktoś o niej pomyślał, że dostrzegł w niej coś więcej niż tylko „nieodpowiednią guwernantkę”, sprawił, że poczuła ciepło w sercu. Pan Leon musiał ją poznać lepiej, niż sądziła, skoro był tak pewien, że znajdzie wspólny język z jego ciotką.

Obracała kartkę dłoniach. Może w innych okolicznościach pozwoliłaby zdecydować swojej kobiecej dumie i odrzucić propozycję, ale teraz, gdy skromne oszczędności topniały w oczach, od razu odrzuciła te zuchwałe podszepty i postanowiła, że nazajutrz z samego rana wsiądzie w pociąg do Willowbridge. Nawet jeśli czeka ją tam tylko rozczarowanie.

2 Zanim w XIX wieku zaczęto traktować edukację kobiet (a także dzieci) poważnie, guwernantki dość często uważano za służące. Zwykle mieszkaly w domach rodzin, u których pracowały. W literaturze i kulturze popularnej niejednokrotnie przedstawiano je jako postacie smutne, odizolowane od społeczeństwa, rezygnujące z miłości, których życie kręciło się wyłącznie wokół podopiecznych. Ich życie towarzyskie bywało często ograniczone jedynie do kontaktów z członkami rodziny pracodawcy.

ROZDZIAŁ 2

Dworzec kolejowy w Dublinie był malowniczo położony między pagórkowatymi łąkami, w cieniu gęstych, wiekowych drzew, które otaczały miasto. Jego budynek z czerwonej cegły był dość skromny, ale w tym też tkwił jego niepowtarzalny urok, zwłaszcza o tej porze roku. Szerokie lekko ośnieżone drewniane schody prowadziły do przytulnego holu, gdzie na podróźnych czekały wygodne ławki. Było tu zdecydowanie cieplej niż na zewnątrz, a to za sprawą dużych, niedawno zamontowanych żeliwnych pieców, które ogrzewały pomieszczenie, a ich ciepłe światło rozświetlało wnętrze budynku.

Na peronie, pod warstwą świeżego puchu, czekały puste ławki. Podróżni woleli stać, przestępując z nogi na nogę i chuchając w zmarznięte dłonie. Tu i ówdzie mieszały się dźwięki – szepty dam wymieniających najświeższe plotki i szelest gazet w rękach dystyngowanych panów wypatrujących swojego pociągu. Tuż obok peronu była mała kawiarenka, skąd dolatywał smakowity zapach świeżo mielonej kawy i ciepłych bułek. Choć dworzec w Dublinie był skromny, był niekwestionowanym sercem miasta. Każdy gwizd lokomotywy budził okolicę do życia, snując historie o rozstaniach, powrotach i nowych początkach. Zimą dworzec zwalniał rytm – mniej podróźnych, cichsze kroki na peronie. Za to tory wiły się przez bajkowy krajobraz: białe pola aż po horyzont i drzewa strząsające śnieżne czapy na wietrze. W oddali dym z nadjeżdżających parowozów wplatał się w zimowe niebo, jakby był częścią tej spokojnej scenerii.

Emily wsiadła do pociągu, a kiedy drzwi zamknęły się za nią z łagodnym trzaskiem, poczuła znajome drzenie – mieszaną ekscytacji i niepokoju. Willowbridge – miasto leżące w hrabstwie Clare, w prowincji Munster – czekało kilka godzin drogi stąd. Ciepły wagon powitał ją trzeszczeniem drewnianych siedzeń. Opadła na jedno z nich, pozwalając oczom błędzić po zimowym krajobrazie za szybą. Pola lśniły bielą, a oszronione drzewa wyglądały jak zaklęte w kryształ. Podczas podróży dzieliła uwagę między książkę na kolanach a zmieniającą się scenerię za oknem, od czasu do czasu odpowiadając na pytania współpasażerów.

Wysiadła w Willowbridge – zmęczona podróżą, ale pełna nadziei. Zimowe słońce witało ją w mieście, które miało otworzyć nowy rozdział jej życia. Chciała w to wierzyć, traktując tę szansę jak rekompensatę od losu za wszystkie ciosy: śmierć rodziców, wyjazd brata, widmo utraty domu, a teraz utratę pracy. Dla samotnej kobiety to było zbyt wiele, ale zawsze miała swoje książki – ciche przystanie w czasie burzy.

Niosąc brązową, podniszczoną już, skórzaną torbę podróżną, Emily opuściła peron, oddychając świeżym zimowym powietrzem. Wokół panowała mroźna cisza, a odgłos jej niepewnych kroków na chodniku tłumił delikatny szum chłodnego wiatru. Miasto zdawało się uśpione, jakby czekało na przebudzenie pod dotykiem zimowego słońca. Zaczęła uważnie studiować ośnieżone tablice, szukając adresu z liściku pana Leona. Biały Ogród – dzielnica irlandzkiej elity – witał ją chłodnym przepychem. Czuła na sobie spojrzenia przechodniów, świadoma, że jej skromny strój nie pasuje do tej wystawnej scenerii. Szła jednak dalej z podniesioną głową.

Za mostem wyłoniła się posiadłość pani Serafiny – biała willa górująca nad okolicą. Kute w żelazie drzwi wejściowe zdawały się strzec przejścia do innego świata. Wzdłuż ścieżki ciągnął się szpaler idealnie przyszytych krzewów, a migoczące latarnie prowadziły do schodów

frontowych. Kolumny pięły się ku niebu, a rozległy ogród nawet zimą zdradzał ślady egzotycznej świetności. Emily w końcu dotarła przed drzwi rezydencji. Zadrżała, ale nie z zimna – nie mogła sobie teraz pozwolić na wahanie. Uniosła dłoń i nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzył lokaj we fraku, mierząc ją zaskoczonym spojrzeniem.

– Czym mogę służyć pani? – zapytał grzecznie.

Emily zebrła całą pewność siebie.

– Dzień dobry. Jestem Emily O'Donnell. Przyszłam się spotkać z panią Serafiną.

– Czy panna Serafina oczekuje? – W jego głosie pobrzmiwała uprzejma rezerwa.

– Niestety panna Serafina – Emily zanotowała w myślach stan cywilny właścicielki – nie wie o mojej wizycie. Przysłał mnie tu Leon Harrington.

– Rozumiem. Proszę wejść. – Kamerdyner gestem zaprosił ją do środka i ruszył po schodach na górę.

Emily została sama w przestronnym holu. Marmurowa posadzka odbijała światło kryształowych żyrandoli, a ciężkie, wiekowe meble i staranne zdobienia nadawały miejscu charakter sali muzealnej. Czuła się tu mała i nie na miejscu. Kamerdyner zastał ją przy bogato rzeźbionym sekretarzyku w rogu holu.

– Panna Serafina przyjmie panią – oznajmił i wskazał drzwi do salonu.

Emily przekroczyła próg, wkraczając w świat eleganckiej harmonii. Wysokie okna tonęły w kaskadach firan i ciężkich zasłon, a meble z ciemnego drewna zdawały się pamiętać czasy portretowanych przodków spoglądających ze ścian. W powietrzu unosił się słodki, kwiatowy zapach – subtelny, a jednak wyraźny dla kogoś, kto jak Emily nauczył się czytać nie tylko słowa, ale i zapachy ukryte między kartkami książek.

W głębi pokoju, przy kominku siedziała kobieta w aksamitnej sukni zdobionej koronkami. Koronkowa chusta spływała miękko z jej ramion. Uważnym spojrzeniem zmierzyła Emily – szczupłą dwudziestotrzylatkę o dużych, zielonych oczach i delikatnych rysach. Nauczycielka upięła tego dnia jasnobrązowe włosy w staranny kok. Jej sukienka, choć nie najnowsza, z subtelnymi haftami i koronkami, podkreślała figurę, ale wysłużone czarne trzewiki teraz były już tylko echem dawnej, skromnej elegancji.

– Dzień dobry, panno O'Donnell! Witamy w Willowbridge! – Głos panny Serafiny brzmiał ciepło i radośnie, a w jej oczach błyszczała szczerza ciekawość i życzliwość. – Cieszę się, że panna do mnie trafiła. – Wskazała wygodny fotel. – Proszę spocząć. Napije się pani herbaty? Mam świeże migdałowe ciasteczka i marmoladę różaną.

Napięcie, które Emily niosła ze sobą od progu, rozpułnęło się w ciepłej atmosferze powitania. W rezydencjach tej klasy nie sposób czuć się swobodnie, a perspektywa nieznanego budziła w niej trudny do określenia niepokój. Teraz jednak, siedząc naprzeciw gospodyni, odetchnęła z ulgą. Panna Serafina, mimo siwych włosów, wcale nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Biły od niej młodzieńcza energia i pewność siebie, którą daje nie tylko majątek i pozycja, ale przede wszystkim charakter.

– Mój siostrzeniec wspominał o pani. – Serafina zmierzyła Emily rozbawionym spojrzeniem. – Choć zdaje się przemilczał prawdziwy powód, dla którego jego... szalona małżonka postanowiła zrezygnować z pani jako guwernantki dla Nasi, nad czym już ubolewam.

– Czy mogę spytać, co pani ma na myśli? – Emily zmarszczyła brwi.

– Drogie dziecko. – Serafina uśmiechnęła się promiennie, a jej twarz pojaśniała w jednej chwili. – Nie masz już dziesięciu lat i z pewnością czasem spoglądasz w lustro. Zameżne kobiety bywają zazdrosne, a twoja uroda tej zazdrości nie umniejsza.

– To miłe, że pani tak sądzi. – Zarumieniła się lekko. – Ale bez względu na prawdziwy powód, straciłam pracę. Dlatego, za sugestią pana Leona, przychodzę do pani. Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu tą niezapowiedzianą wizytą.

– Gdyby pani obecność mi przeszkadzała, z pewnością bym to oznajmiła. – Dama uśmiechnęła się, unosząc z gracją filiżankę do ust.

Emily obserwowała ją oczarowana. Każdy gest, spojrzenie, sposób wypowiedzania słów – wszystko to miało w sobie magię, która wynosiła zwykłą rozmowę ponad codzienność. Znała to uczucie z książek, ale nie potrafiła pojąć, jak ta arystokratka jednym gestem potrafi stworzyć tak wyjątkową atmosferę.

– Jak dobrze zna pani Willowbridge?

– Jestem tu pierwszy raz. Pochodzę z Dublina.

– Ach tak, Leon coś wspominał. – Panna Serafina rozpromieniła się. – Z pewnością pokocha pani to miasto jak ja. Choć urodziłam się w Londynie, nie wyobrażam sobie życia poza tą „zieloną wyspą”³. Jej głos nabrał pasji. – Willowbridge skradło moje serce, nawet w najczarniejszych czasach głodu⁴. To właśnie wtedy założyłam Ogród Nadziei.

Odstawiła filiżankę, a jej twarz spoważniała.

– Słowo „sierociniec”, choć wszystkim chyba najlepiej znane, wciąż z trudem przechodzi mi przez usta. To coś więcej niż przytułek dla porzuconych duszyczek. To oaza w chaosie i... lustro dla bogatych mieszkańców Wielkiej Brytanii, odbijające ich własne sumienia. – Zamyśliła się.

Emily nie śmiała przerywać tej wymownej ciszy. Dla niej słowo „sierociniec” też było najbardziej bolesnym słowem świata, jednak słuchając panny Serafiny, zaczęła rozumieć, że nie wszystko, co za nim

ukryte, musi być złe. Troska, miłość i oddanie, które zobaczyła w jej ciemnych oczach, przemawiały głośno i wyraźnie.

– Potrzebuję kogoś, kto nie tylko zaopiekuje się dziećmi – głos rozmówczyni nabrał mocy. – Ale przede wszystkim zadba o ich wychowanie. Los nie był dla nich łaskawy. Są w różnym wieku, niektórzy już pobłądzili. Potrzebuję kogoś takiego jak pani. – W jej tonie nie było miejsca na sprzeciw.

– Nie wiem, czy podołam. Owszem, pracowałam jako guwernantka, ale... – Emily nie dokończyła.

– Czuję, że poradzi sobie pani świetnie, a przeczcucie to chyba moja jedyna skuteczna broń w tym świecie. – Spojrzała na dziewczynę przenikliwie. – Ale decyzja należy do pani. Ogród Nadziei zapewnia pokoje dla wychowawczyń, wikt i opierunek. Za pracę z młodzieżą otrzyma pani godne wynagrodzenie. Zastanowi się pani?

– Tak, pomyślę o tym. Bardzo dziękuję za zaufanie.

– Drobiazg, moje dziecko. Po prostu tak trzeba. – Uśmiechnęła się ciepło. – Choć liczę, że wesprzesz Ogród Nadziei swoją pracą. A teraz – zjesz ze mną obiad?

– Bardzo chętnie, ale powinnam zdążyć na pociąg.

– O to proszę się nie martwić. Maksymilian, mój siostrzeniec, zadba o pani podróż. I tak będzie wracał do Ashfordshire przez Dublin.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu... – zaprotestowała nieśmiało Emily.

– Żaden kłopot. Maksymilian powinien zjawić się lada moment, też zaprosiłam go na obiad. Tak rzadko mnie odwiedza – dodała z żalem.

Salon wypełnił się rytuałem przygotowań do posiłku. Służba z gracją rozstawiała porcelanę i kryształy, a aromat potraw mieszał się z ciepłem

kominka, którego płomienie tańczyły w wypolerowanych srebrach. Panna Serafina posadziła Emilę przy sobie, w honorowej części stołu.

Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem. Do salonu wkroczył wysoki mężczyzna, emanujący nonszalancką pewnością siebie. Ciemne, gęste włosy i lekki zarost kontrastowały z elegancją dopasowanego granatowego fraka. W biegu zdjął płaszcz i oddał go kamerdynerowi, nie tracąc przy tym swojego pewnego uśmiechu.

– Kochana cioteczko, nic nie mów – wiem, że to moja wina, moja bardzo wielka wina. – Mężczyzna posłał Serafinie rozbijający uśmiech, gdy wstała od stołu, by go przywitać.

Mimo dojrzałych rysów, jego twarz zachowała chłopięcą przekorę, szczególnie widoczną w uśmiechu. Każdy gest, każdy element stroju zdradzały jego arystokratyczne pochodzenie, idealnie współgrając z dostojną atmosferą domu.

– Czy ja kiedyś zmądrzeję? – Serafina pokręciła głową. – Spóźniasz się, a ja nawet nie potrafię cię zganić. Ech, ten twój przeklęty urok. – Zaśmiała się, ściskając siostrzeńca.

– Panno Emily, przedstawiam Maksymiliana Harringtona. Syn mojej siostry i brata Leona, tak podatnego na wpływy żony, którą miała pani nieszczęście poznać – Serafina odwróciła się do Maksymiliana. – A to panna Emily O'Donnell, bardzo czytana istota, która być może zechce wspomóc mój Ogród Nadziei.

Maksymilian skłonił się z wdziękiem. Emily odpowiedziała tym samym.

– Bardzo mi miło poznać pana.

– Mnie również, panno Emily. I proszę przyjąć szczere kondolencje z powodu poznania małżonki mego brata. – Jego poważny ton kontrastował z żartobliwą treścią, wywołując śmiech obu pań.

Podczas obiadu atmosfera stała się swobodniejsza. Emily, ku własnemu zaskoczeniu, przestała zwracać uwagę na otaczający ją przepych, wciągnięta w ożywioną rozmowę.

– Maksymilianie – odezwała się Serafina – obiecałam pannie Emily, że będziesz jej towarzyszył w drodze do Dublina.

– I słusznie, ciociu! Nie pozwolimy, by taka kobieta podróżowała sama koleją w tę zimową porę. – Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, a Emily spuściła wzrok, czując rumieniec wypływający na policzki. Uciekła spojrzeniem od jego wzroku.

* * *

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

.....

[3](#) Irlandia nazywana jest *Zieloną Wyspą* i zawdzięcza tę nazwę swojemu kraj- obrazowi. Przeważają w nim pola i łąki ogrodzone żywozielonymi mchami, tzw. suchymi murami i bujnymi, dojrzałymi żywopłotami.

[4](#) W latach 1845–1849 Irlandię dotknął *Wielki głód*, spowodowany przez grzybopodobnego pierwotniaka, który gwałtownie rozprzestrzenił się w Europie w połowie XIX wieku i powodował ogromne straty w uprawach ziemniaków. Populacja Irlandii zmniejszyła się wówczas o 20%, doszło również do wielkiej fali emigracji – Irlandię opuściły 2 miliony ludzi (Wikipedia).

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2